

LILIANA FABISIŃSKA.



AMOR

z ulicy
Rozkosznej



LILIANA FABISIŃSKA (ur. 1971) – autorka sztuk teatralnych i książek dla dzieci i młodzieży. Karierę dziennikarską rozpoczęła w czasopiśmie „Na przełaj”, publikowała także w „Sztandarze Młodych” i „Cinema”, była redaktorem naczelną „Filipinki”. Napisała m.in. sztuki *Kiwanie Koziorożca*, *Internautka* (nagroda w konkursie „My, młodzi, u progu XXI wieku”), *Czterdziestka* (nagroda w konkursie im. Stanisława Grochowiaka), *List do Mikołaja* (nagroda Poznańskiego Centrum Sztuki Dziecka). Jej debiutancka powieść *Amor z ulicy Rozkosznej* otrzymała wyróżnienie w konkursie na książkę młodzieżową pod hasłem „Uwierz w siłę wyobraźni”. Autorka pracuje już nad drugim tomem.

LILIANA FABISIŃSKA
Amor z ulicy Rozkosznej



LILIANA FABISIŃSKA

AMOR
z ulicy
Rozkosznej

Sąsiadce Agatce

za tytuł, od którego wszystko się zaczęło,

Koalci

za utlenioną formalinę i zielone buraczki,

Robertowi

za to, że wierzył w „Amora” jak nikt,

Julce

za karburator i tysiące sms-ów

i pewnemu kibicowi Polonii Warszawa

za to, że Dziwne Stwory

już zawsze będą mieć piłkarskie imiona

a ja codziennie będę śmiać się do łez

Na szczęście nie Gubałówka!

Mam na imię Amor. Brzmi jak kiepski dowcip, ale to szczerza prawda. Tak dali mi na imię rodzice. Do dziś są zachwyceni swoim pomysłem, uważają, że to najlepsze, co im w życiu przyszło do głowy. Matka lekarka, ojciec doktor chemii... Ona ratuje ludziom życie, on odkrył w laboratorium nowy wirus wywołujący żółtaczkę... ale to się nie liczy.

– Najbardziej dumni jesteśmy z naszego Amorka – powtarzają rozanieleni. I puszczają do siebie oko. No bo jestem dzieckiem wielkiej miłości i powinienem być wzruszony, że tak mnie nazwali.

– A jak miałbym na imię, gdybym był dziewczynką? – zapytałem kiedyś.

– Gubałówka – oświadczyli zgodnie, nie zastanawiając się ani minuty. – W Zakopanem wzięliśmy ślub, spędziliśmy miesiąc miodowy, potem jeździliśmy tam na każdą sobotę i niedzielę... Jak mógłbyś się nazywać, jeśli nie Gubałówka?

No tak... To już chyba wolę być chłopcem. I niemal jestem im wdzięczny, że nazwali mnie Amor.

Mógłbym przecież nazywać się Giewont. Albo Butorowy Wierch. Albo Murowaniec. Rodzice przecież zawsze pili herbatę i jedli bigos w Murowańcu, widziałem zdjęcia. Tak, Amor chyba nie jest najgorszym imieniem. Całkiem miło brzmi w połączeniu z moim nazwiskiem: Amor Korzonek. Wcale nieźle, prawda? Już trochę się przyzwyczaiłem, noszę to imię od prawie dziesięciu lat. Jeszcze z dziesięć i może je polubię?

Nie wiem tylko, czy polubią je moi nowi sąsiedzi. O ile tam w ogóle będą jacyś sąsiedzi. Rodzice kupili dom, za tydzień się przeprowadzamy. Jeszcze go nie widziałem. Jest w Maślankach, „całkiem blisko Warszawy”. Tak mówi mama. A tata zapewnia mnie, że „w ogóle nie poczuję różnicy”. Nie poczuję! Moja szkoła będzie trzydzieści kilometrów od tego nowego domu. Tata obiecał, że będzie mnie codziennie woził, żebym nie musiał rozstawać się z kolegami, ale słyszałem, jak we wtorek wieczorem mama, myśląc, że już śpię, powiedziała: „Za miesiąc sam się zmęczy tymi dojazdami i będzie prosił, żeby go przenieść do szkoły bliżej domu. Taka wiejska szkoła to może być całkiem fajna rzecz”. Fajna! Wiejska szkoła! Akurat! Jaka mnie po niej czeka przyszłość? Przecież nasza wychowawczyni, pani Woźniak, ciągle powtarza, że musimy już teraz walczyć o wysoką średnią i udzielać się w kółkach zainteresowań, żeby dostać się do najlepszego gimnazjum, potem liceum – a w końcu na studia. Poka-

zywała nam statystyki. Dzieci z naszej szkoły nie mają kłopotów z egzaminami wstępnymi, świetnie znają języki, no i dostają dodatkowe punkty za kółko malarskie i informatyczne. A tam, na tej wsi, pewnie nawet nie wiedzą, co to jest komputer.

– Mamo, a czy w tym domu jest telefon? – zapytałem wczoraj.

Spojrzała na mnie, jakbym zapytał, czy w ścianie nie zamurowano przypadkiem jakiejś mumii, i wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, Amorku, ja w ogóle nie widziałam tego domu – powiedziała i zasłoniła twarz grubą księgą o stosowaniu ziół w leczeniu chorób płuc.

– Jak to: nie widziałas? – krzyknąłem przerażony.

– No, wiesz, tylko na zdjęciach – odparła z roz-targnieniem. – Cena była taka niska, to było aż nie-prawdopodobne, nie zastanawialiśmy się ani chwili. Nigdy nie myślałam, że będzie nas stać na dom z dużym ogrodem. A tymczasem ta cena... Niesamowita okazja! Sprzedamy to mieszkanie, zapłacimy za dom i jeszcze kupimy nowe meble. Widziałeś kiedyś taki tani dom? Trzeba było się zdecydować natychmiast. My byśmy pojechali oglądać, a w tym czasie ktoś by go kupił. Nie, nie można było ryzykować. A poza tym to będzie takie miłe, wejść tam po raz pierwszy i od razu zamieszkać. Taka niespodzianka, przygoda. Nie czujesz tego?

– Ale mamo, przecież tam może stać jakaś ruder-a, tam może być puste pole, oni cię mogli oszukać!

Czy ty nie oglądasz telewizji? Ludzie tylko czekają, aż się trafi ktoś taki jak ty! Nikt nie sprzedaje tak tanio domów! Mamo...

Poczułem, że brakuje mi słów. Moi rodzice są tacy łatwowierni. Najchętniej zamieszkaliby gdzieś pod Giewontem i paśli owce. Nie wiem, jakim cudem udało im się skończyć studia i znaleźć pracę. Zdarzało się im już gubić wózek, w którym spałem, raz spalili całą kuchnię, zostawiając włączony piekarnik, tata złamał nogę, bo się zagapił w gwiazdy i nie patrzył w dół, mama co tydzień musi stać na poboczu i błagać kogoś, żeby jej pomógł, bo zabrakło jej benzyny. No, ale zakup domu, którego się nawet nie widziało, to już chyba lekka przesada!

– Jak mogliście kupić dom, nie oglądając go?
– zaatakowałem tatę, gdy tylko wszedł do domu.

– Synku, nie denerwuj się, przecież widzieliśmy go na zdjęciach. – On też nie dostrzegał problemu.
– A poza tym, nie wiesz jeszcze najlepszego. Gdy dowiesz się, przy jakiej ulicy stoi ten dom, będziesz zachwycony. Od razu wiedzieliśmy, że był nam pisany, przeznaczony.

– Zwłaszcza tobie, kochanie, zwłaszcza tobie – rozpromieniła się mama, odkładając książkę na półkę, obok jej ulubionej encyklopedii ziół.

– Ulica Zakopiańska? – usiłowałem odgadnąć, dziękując jednocześnie w myślach niebiosom, że uchroniły mnie przed imieniem Giewont.

– Zakopiańska to byłaby dla mnie i dla taty, a nie dla ciebie. – Mama odrzuciła do tyłu kosmyk ciemnych, kręconych włosów, które zawsze wchodziły jej do ust i oczu. – A dla ciebie synku... No, zgadnij.

– Boję się – szepnąłem.

Ale mama nie usłyszała. Radość rozsadzała ją od środka, nie mogła już dłużej czekać.

– Rozkoszna, synku! – zawołała rozpromieniona. – Pomyśl tylko: Amor z ulicy Rozkosznej. Czy to nie brzmi słodko?

Całą noc leżałem w łóżku i wpatrywałem się w ciemności w sufit. Oczywiście niewiele było na nim widać. Tylko cienie zza okna i kontur okrągłej lampy, którą podarowała mi babcia. Tak bardzo za nią zatęskniłem. Jest taka normalna, zwyczajna, spokojna. Robi pierogi, zupę pieczarkową, w jej domu zawsze pachnie pastą do podłogi i kompotem, który gotuje z malin i truskawek. Ona nigdy nie nazwałaby mnie Amor. Podobno bardzo się zezłościła na mamę, kiedy usłyszała, że tak mi dała na imię. Chciała nawet złożyć jakąś skargę, bo – jak twierdziła – urzędnik nie powinien pozwolić moim rodzicom na coś takiego. Szkoda, że nie złożyła. I szkoda, że mieszka tak daleko... Aż za Rzeszowem. Widuję ją dwa razy w roku, czasami nawet rzadziej. Och, jak ja bym chciał, żeby z nami mieszkała. Na pewno nie dopuściłaby do tego, żeby

rodzice kupili dom, którego nie widzieli. I kazała-
by mamie zająć się chirurgią albo okulistyką, a nie
ziołami. Babcia na pewno nie wie, że mama posta-
nowiła się specjalizować w medycynie naturalnej.
Jak jakaś zielarka, a nie prawdziwy lekarz z po-
rządnym dyplomem!

Latający fortepian

W tamten wtorek całe moje życie nagle runęło i zamieniło się w chaos.

Rano, kiedy wychodziłem do szkoły, rodzice pakowali pościel i opróżniali szafki w kuchni, ale poza tym wszystko było na swoim miejscu. Moje ubrania, zeszyty, ulubione zielone zamszowe buty, moja książka o mumiach, którą podarowała mi ciocia Ela na urodziny...

Kiedy wróciłem, po kilku godzinach, jacyś mężczyźni wynosili właśnie mój regał, a mama upychała w czarnym worze miśka z urwanym uchem, tego, z którym zawsze spałem, jeszcze jako przedszkolak. Gdy poszedłem do szkoły, przestałem z nim sypiać, w końcu byłem już za duży na takie rzeczy. Ale on wciąż siedział na parapecie i patrzył na mnie spod tego oderwanego ucha dużymi, okrągłymi czarnymi oczyma, bez źrenic i rzęs. Teraz parapet był pusty.

Całe moje życie trafiło do worków, pudełek... i samochodu z napisem „Przeprowadzki bezstresowo”, który stał pod blokiem. Akurat, bezstresowo!

Dobre sobie! Mama skończyła upychać miśka i po prostu się rozplakała. Zaczęła walić pięścią w worek i krzyżeć „Nigdy nie skończę tego cholernego pakowania!”, a tata biegał od okna do drzwi i pytał, gdzie są ci ludzie od fortepianu.

– A co, ci z samochodu nie mogą go zabrać? Bezstresowo? – zapytał Jacek, mój najlepszy przyjaciel, który przyszedł mi pomóc. Powiedział, że przy przeprowadzce liczy się każda para rąk do noszenia paczek, ale większość paczek była już w samochodzie.

– Pewnie, że nie mogą. – Tata popukał się w czoło. – Widziałeś kiedyś kogoś, kto znosi fortepian po schodach albo zwozi windą, w której z trudem mieści się czwórka chudzielców? Potrzebne są specjalne taśmy do spuszczenia go przez okno. Mieli je przynieść trzy godziny temu. Zaraz dostanę szalu i będę gryzł!

Nawet mnie ucieszyła ta wizja, a Jacka chyba jeszcze bardziej. Z trudem powstrzymał chichot, kiedy wyobraził sobie gryzącego doktora Korzonka. Bo doktor Korzonek, czyli mój tata, to niespotykany spokojny człowiek. Nie zdenerwował się nawet wtedy, kiedy sąsiedzi z trzeciego piętra zalali nam całe mieszkanie i nie dało się już uratować ani telewizora, ani całkiem rozmięklej czterotomowej encyklopedii technicznej po angielsku, na którą wydał całą pensję. A kiedy wezwano go do szkoły, bo rozbiłem gigantyczny sół z sercem krowy w formalinie,

stojący w pracowni biologicznej, i z powodu smrodu dyrektor musiał odwołać lekcje na całym piętrze do końca dnia, tata powiedział tylko: „Jestem trochę zdziwiony, jak ci się to udało. Ten słój był przecież z bardzo grubego szkła, a ty jesteś raczej drobnej postury. Szkoda, że nie powiedziałeś dyrektorowi, że nieprzyjemną woń formaliny, która tak naprawdę nazywa się aldehyd mrówkowy, najlepiej wywabić, utleniając ją do kwasu mrówkowego. Wystarczy rozpylić w pomieszczeniu wodę utlenioną. Przecież jako syn chemika, musisz to wiedzieć, prawda?”

Nie powiedziałem mu wtedy, że nie tylko nie wiem, co to znaczy „utlenić do kwasu”, ale nawet nie mam pojęcia, co to tak naprawdę jest formalina. Śmierdzi i przelewa się po słojach z obrzydliwymi częściami wyciętymi z różnych zwierząt. Okropność! Nie mogę, oczywiście, powiedzieć tego rodzicom. Uważają, że jako syn lekarki i chemika muszę lubić takie rzeczy. Też coś! Lubić rozkrojoną ropuchę zamkniętą w słoju?!

Tym razem tata wyglądał na wyprowadzonego z równowagi. Chodził od okna do drzwi, przytupywał, a nawet wyjął paczkę papierosów. Nie pali od pięciu lat, ale wciąż trzyma w szufladzie papierosy „na wszelki wypadek”. Teraz jednak trzymał tę paczkę w ręce. Może dlatego, że nie miał już szuflady? Była przecież w wielkim bezstresowym samochodzie dwa piętra niżej.

– Jak nie przyjadą w ciągu minuty, to zapalę! – syknął w końcu, odchodząc od okna.

Faceci od taśm zlitowali się jednak nad jego płucami i w tym samym momencie zapukali do drzwi.

– Nareszcie! – krzyknął tata ucieszony i nacisnął klamkę.

– My po fortepian – powiedział nieogolony typ o wielkich dłoniach, ubrany w za duży szary dres.

– Mają panowie taśmy? – upewniła się mama, wyglądając z pustego pokoju i odgarniając z twarzy sklezione potem kosmyki włosów.

– Mamy – mruknął ten sam typ i wyciągnął z kieszeni jakiś długi czarny pasek.

– Samochód już czeka pod oknem. – Tata wychylił się, żeby pokazać im ciężarówkę firmy organizującej bezstresowe przeprowadzki.

– Mamy swój – powiedział cicho drugi mężczyzna, niższy o dwie głowy od tego w dresie.

Ten dla odmiany miał dłonie tak małe jak moje, a na głowę wcisnął wełnianą czapkę w żółtą kratyczkę. W kwietniu? To chyba lekka przesada!

– Jak to swój? – zdziwiłem się, bo przecież byłem świadkiem rozmów z kierowcą. – Oni tam czekają, w tej ciężarówce, właśnie na fortepian. Wszystko tak układali, żeby się zmieścił. Ćwierć samochodu jest wolne.

– Chłopczyku, nie wtrącaj się, jak dorośli rozmawiają, dobrze?

Ten w dresie bardzo się starał, żeby jego głos brzmiał miło, ale widziałem, że ma ochotę mnie uderzyć albo przynajmniej powiedzieć „zamknij się”.

Szkoda, że Jacek akurat sprawdzał, czy nic nie zostało w łazience, i nie słyszał tej rozmowy. Na pewno by mu coś odpowiedział! Na szczęście odezwał się tata.

– Nasz syn jest dla nas partnerem w rozmowach – wyjaśnił mu – i proszę, żeby panowie nie traktowali go lekceważąco.

– Dobra już, dobra. – Mniejszy z mężczyzn starał się załagodzić sytuację. – Przecież ten brzdąc wie, że kolega nie chciał źle. No nie, mały?

Przytaknąłem. Zależało mi na tym, by zabrali fortepian i wyszli. Nie zamierzałem się kłócić. Byłem jednak wdzięczny tacie, że stanął w mojej obronie.

– Ale on ma rację – wtrąciła się mama. – Przecież ustalaliśmy inaczej. Panowie mieli przyjść z taśmami, zapłaciliśmy wyłącznie za tę usługę, nie za transport. Nie chcieliśmy wynajmować drugiego samochodu. Tamten na dole od pół godziny czeka tylko na fortepian.

– Już nie czeka. – Facet w dresie wyciągnął swą monstrialną rękę w stronę okna i wskazał odjeżdżającą ciężarówkę. – Powiedzieliśmy im, żeby już jechali.

– Ale my nie zamierzamy płacić za drugi samochód! – zdenerwowała się mama. – Wynajęliśmy jeden, wszystko by się w nim zmieściło. Nie interesuje mnie to, co panowie sobie wymyślili, ja już

opłaciłam usługę. Amor ma rację, w tej ciężarówce zostało mnóstwo miejsca.

– Amor? – zainteresował się ten niższy. – Słyszałeś, Karol? Ten dzieciak nazywa się Amor. Ale numer!

– Hi, hi! – Niedogolony gigant w dresie aż poczerwieniał z radości. – Ale dzieciakowi imię wybrali, niech mnie...

– Może wrócimy do rozmowy o transporcie fortepianu? – zaproponował lodowatym tonem tata.

– Chyba nie wyjaśniliśmy sobie jeszcze wszystkiego.

– Ten transport to za darmo. Znaczy się, w prezencie od firmy – powiedział mały, naciągając czapkę na oczy.

– Gratis, jak to mówią – dodał ten w dresie.

– Ale... – Mama najwyraźniej im nie dowierzała.

– Żadnych „ale”. – Niedogolony wszedł na parkiet, zostawiając brudne ślady, i zaczął szybko obwiązywać fortepian taśmą.

Dobrze, że mama już nie będzie musiała czyścić tej podłogi, pomyślałem. Ciekawe, jak będzie wyglądała podłoga w naszym nowym domu. Może w ogóle jej nie będzie? Jakiś beton, albo po prostu udeptana ziemia. Za taką cenę...

– Przepraszam, że się wtrącam... – Tata był chyba odrobinę zaniepokojony. – Czy pan na pewno zna się na spuszczeniu fortepianów przez okno? Jestem co prawda chemikiem, ale znam prawa fizyki... Moim zdaniem powinniście użyć co najmniej

trzech pasów podtrzymujących. Dwa pierwsze należy związać ze sobą i przerzucić przez dwa skraje klawiatury. Poprowadzone pod spodem, powinny wyjść bokami instrumentu i zejść się we wcześniej zrobionym węźle. Oczywiście, węzeł musi znajdować się na osi środka ciężkości fortepianu, który powinien być mniej więcej w odległości dwóch piątych długości instrumentu, nieco po prawej stronie osi podłużnej. Trzecia taśma powinna opleść koniec fortepianu, aby wprowadzić dodatkowe punkty podparcia tworzące parę sił zabezpieczających przed utratą równowagi, na wypadek gdybyśmy nie wcelowali we wspomniany środek ciężkości. Szacując ciężar instrumentu na sto pięćdziesiąt kilogramów...

– Dobra, dobra... damy sobie radę bez tej pana matematyki. Dla nas to przecież nie pierwszozna – syknął przez zęby nieogolony typ w dresie i kopnął w kostkę swego towarzysza. – Rusz się, robota czeka.

Nie mogłem uwierzyć, że wywód mojego taty nie zrobił na nich żadnego wrażenia! Nie przejęli się wcale tym, że mówił do nich prawdziwy naukowiec. I to jak mówił! Nie zrozumiałem z tego ani słowa, ale byłem naprawdę wzruszony. A oni nic! Po prostu schylili się i przez minutę albo dwie obaj mocowali taśmy. Bez chwili zastanowienia owinęli nimi nogi fortepianu i przewiązali go w pasie. To znaczy, jakoś tak w połowie. Nie wiem, jak nazywa się to miejsce.

– Ja naprawdę nie neguję panów kompetencji, sądząc jednak, że ten fortepian nie jest równo zache-

piony. Tutaj zupełnie brakuje podparcia, a tu z kolei...

– Nie ma co dłużej kombinować – przerwał tacie ten mniejszy. – Spuszczamy, i to już. Raz, dwa, trzy...

Zamknąłem oczy. Otworzyłem je dopiero, gdy zza okna rozległ się huk.

– Niech to szlag! – syknął facet w dresie. – Spadł! A przecież tak go dobrze związaliśmy.

– Cholera! – Jego pomocnik kręcił głową z niedowierzaniem. – Mówiłeś, że nie spadnie. Myślałeś, że umie fruwać, czy co? To zwykle ciężkie pudło, a nie czarodziejski dywan. I co teraz zrobimy? No co?

– Sądzę, że stało się tak, gdyż zignorowaliście panowie sprawę pasów podtrzymujących, one naprawdę powinny zbiegać się w środku ciężkości, który, jak nietrudno wyliczyć, znajduje się mniej więcej w odległości dwóch piątych długości for...

– Michał, przestań gadać i leć na dół! – Mama się rozplakała. – Ten fortepian to nasza jedyna cenna rzecz. Ale pewnie nic już z niego nie zostało. Włóż buty i biegnij. Chyba gdzieś tu muszą być twoje buty? Sprawdź, co się stało. Sprawdźcie obaj. Biegnij, Amorku. I Jacek! Gdzie jest Jacek?

Nie miałem pojęcia, co mój przyjaciel tak długo robi w łazience. Nie mogłem jednak teraz o tym myśleć. Nie mogłem też czekać na windę, wolniejszą od zółwia. Zbiegłem na podwórko, skacząc po dwa schodki, i natychmiast poczułem ogromną ulgę.

Fortepianowi nic nie było. No, prawie nic. Miał oderwany jeden pedał, a na lewej nóżce powstała głęboka ryna przypominająca piorun, rozdwajający się na samym końcu. Poza tym jednak wszystko wyglądało normalnie.

Zaraz za mną na podwórku pojawili się ci dwaj, którzy spowodowali wypadek. Natychmiast zaczęli ładować fortepian do samochodu.

– No, mały, leć i powiedz rodzicom, że wszystko w porządku – szturchnął mnie ten niższy. – Będą jeszcze mogli sprzedać to cacko i nieźle na nim zarobią.

– Oni nie będą go sprzedawać, jest przecież...
– zacząłem tłumaczyć.

Nagle jednak zrozumiałem, że nie muszę im wyjaśniać, dlaczego ten fortepian jest dla nas ważny. Szkoda czasu na rozmowę z takimi typami. Lepiej szybko pobiegnę na górę i pocieszę mamę. Tata pewnie wciąż szuka butów w całkiem pustym mieszkaniu, a mama miota się ze łzami w oczach i encyklopedią ziół pod pachą, potyka się o te buty, ale ich nie widzi... Tak potrafią się zachowywać tylko moi rodzice!